

ekran

NR 18 (891) • 5 MAJA 1974 • ROK XVIII • CENA 4 ZŁ

JADWIGA
JANKOWSKA-CIEŚLAK
str. 18-19

Jeszcze o II programie

•
„Chleba naszego powszedniego”

JADWIGA JANKOWSKA - CIEŚLAK



Jadwiga Jankowska-Cieślak debiutowała przed dwoma laty w filmie „Trzeba zabić tę miłość” Janusza Morgensterna. Dziś jest aktorką Teatru Dramatycznego. Niedawno zadebiutowała na scenie: jej pierwsza i od razu wielka rola to Elektra w sztuce Jeana Giraudoux pod tym samym tytułem. Debiut Jankowskiej w teatrze, podobnie jak i jej pierwsza rola filmowa, zyskały pochlebna opinię krytyki. Recenzent „Trybuny Ludu” napisał „...to piękny debiut teatralny. Aktorka gra tę spalającą się w emocjach i sekciarstwie moralnym dziewczynę całą sobą, z ogromnym zaangażowaniem i siłą, bez najmniejszej rezerwy na dystans i oddech”.

— Mówi się często, iż życie rodzinne jest przeszkodą w pracy zawodowej. Czy uważa pani, że jest to słuszne stanowisko?

— Nie wyobrażam sobie życia bez rodziny. I pracy bez rodziny. Rodzina to azyl, do którego powracam, by znaleźć chwilę wytchnienia. Dom to odskocznia od spraw teatralnych i filmowych, które i tak w sposób dostatecznie wyczerpujący nas absorbują. Przeto raczej skłonna byłabym zrezygnować z zawodu niż z rodziny. Ale, być może, nie jestem zbyt wielkim fanatykiem sztuki i swego zawodu. Zdaję sobie sprawę z tego, że zawód aktorski jest bezwzględny i okrutny jak chyba żaden inny. Należy uświadomić sobie dość wcześnie, że trzeba będzie odejść, gdy skończy się dobra passa, przysłowiowe „pięć minut”, gdy przyjdą inni, lepsi, nowi — bardziej oryginalni, odpowiadający zamówieniu chwili. Przeto, aby uniknąć rozczarowań, rozgoryczenia, żalu, lepiej mieć jakąś odskocznnię. Własne życie osobiste, bliskich ludzi.

— Z problemem życia rodzinnego wiąże się także sprawa pewnej „inności” aktorów. Czy, zdaniem pani, aktor powinien prowadzić tryb życia różniący się od tego, jaki jest udziałem przeważającej części społeczeństwa?

— Wydaje mi się, że czasy bohemy, cyganerii należą już do przeszłości. Czas szerokich pełeryn, artystycznych poddaszy, atmosfery otaczającej środowisko artystyczne minął.

Dziś taki styl, manifestowanie niezależności i inności wydaje się



Fot. RENATA PAJCHEL

niemożliwe. Czasem jednak udaje się spotkać człowieka, który jest nieco inny niż wszyscy. To cudowne, ale jakże rzadkie zarazem. I nie chodzi tu o pseudo-inność, ale o człowieka autentycznie oryginalnego. Często jednak za oryginalnych uważa się ludzi wyróżniających się jedynie wyglądem zewnętrznym. Niekiedy także i to bywa zabawne.

Sama jednak unikam' jakiegokolwiek inności. Nie umiem, nie potrafię, nie chcę. Wstydę się po prostu, gdy nagle staję się centrum zainteresowania. Gdy ktoś wskazuje mnie palcem, ogląda się za mną na ulicy lub obrzuca mnie taksującym spojrzeniem. Jedną z podstawowych cech naszego zawodu jest właśnie umiejętność pokazywania siebie, a niekiedy nawet swoich najintymniejszych uczuć. Ten ekshibicjonizm, tak nieodłączny w zawodzie aktora, przenosi się także na życie prywatne. I tego zjawiska właśnie za wszelką cenę pragnęłabym uniknąć. Wstyd mi czasem także, gdy ktoś z moich kolegów zachowuje się w miejscach publicznych tak, by zwrócono na niego uwagę. „Artysta” — mówią wtedy przypadkowi widzowie nie myśląc wcale, iż wielu z nich także niekiedy zachowuje się jak artyści. Ale oni są w tej lepszej sytuacji, że nikt ich nie zna. Być może, wszystko to, co powiedziałam, nie jest ważne. Może to tylko mój uraz osobisty. Bo na ogół ludzie lubią aktorów i okazują im swoją sympatię.

— Wiele się pisze o pracy aktora nad rolą. Wiele także krąży na ten temat dowcipów. Że aktorka X rozmawia z koleżanką na temat kłopotów z zakupami, domem, dziećmi, by za chwilę wbiec na scenę i stać się Julią, wygłaszającą płomiennie wyznania miłosne. Jak jest w pani wypadku? Kiedy rodzi się postać — czy na próbach, czy dopiero na premierze, czy może też w ciągu całego dnia jest pani trochę bohaterką, której postać aktualnie odtwarza pani na scenie?

— Jeszcze nie wiem na pewno, jak ten proces przebiega i kiedy rodzi się postać. Wydaje mi się, że bywa różnie. Czasem po udanej próbie, a czasem gdy idę uli-

cą i nagle przyjdzie mi do głowy jedna, jedyna, najlepsza myśl. Na pewno jednak myślę o roli cały czas — nawet wtedy, gdy chcę się od niej uwolnić. Wejść w inny nastrój. Jedno jest pewne: jeżeli nawet pomysł rodzi się poza teatrem, to na pewno postać i jej pełny, ostateczny kształt realizuje się na scenie, a zwłaszcza w czasie prób.

— Pani debiut teatralny odbył się w „Elektrze” reżyserowanej przez Kazimierza Dejmka...

— Fakt ten niewątpliwie zaważył na całej mojej pracy. Dane mi było bowiem zetknąć się z prawdziwym, wspaniałym człowiekiem teatru. Z fachowcem niezwykle miary, a przy tym z artystą uważnym i wrażliwym. Dejmek stosuje odmienne metody pracy w odniesieniu do każdego z aktorów. A przy tym nie robi różnic. Debiutantów traktuje na równi z wielkimi aktorami, może jedynie bardziej wyrozumiale.

— Niektórzy krytycy ostro ocenili sztukę Giraudoux, uznając, iż jest ona staroświecka, zwietrzała. Jakie jest pani zdanie na temat postaci tytułowej, którą pani odtwarza?

— Wydaje mi się, że „Elektra” mimo wszystko zawiera pewne problemy uniwersalne, podobnie jak „Hamlet”. Bohaterowie obydwu sztuk są bezkompromisowi w poszukiwaniu prawdy, oboje są zbyt okrutni w swej młodzieńczej pysze, by odczuć i zrozumieć złożoność świata i praw nim rządzących.

Jeżeli coś się w tej sztuce istotnie zestarzało, to chyba forma. Początkowo miałam wątpliwości, czy za pomocą tekstu autora uda mi się przekazać te prawdy o Elektrze, które są w niej niezmiennie i boleśnie współczesne. A jednak uwierzyłam w tę rolę. Pomógł mi reżyser i zespół. Niemniej zgadzam się z krytykami, że coś się już w tej sztuce po prostu zestarzało.

— Jeżeli już o krytykach... Aktorzy często na nich narzekają. Odwróćmy rolę. Pewnego dnia pani zasiada na widowni jako krytyk. Na co przede wszystkim zwróci pani uwagę?

— Na aktora, oczywiście. To już skrzywienie zawodowe.



— Jakiego aktora czy aktorkę uważa pani za swój ideał?

— Szwedki. Aktorki Ingmara Bergmana: Ingrid Thulin, Liv Ullman, Harriet Anderson, Bibi Andersson. Wielki szwedzki reżyser przez aktora wyraża to, co interesuje go najbardziej — człowieka.

— Czy holduje pani aktualnej modzie?

— Preferuję modę uniwersalną. Wygodną, nie nazbyt ekstrawagancką, tzw. strój na wszystkie okazje. Swetry, spodnie, koszulowe bluzki. Z odstępstwem jedynie na rzecz kapeluszy. To moje

marzenie. Duża szafa, pełna okrągłych pudeł, a w nich kapelusze. Z piórami, wstążkami, z kwiatami, z woalkami.

— A jakieś inne typowo kobiece marzenia?

— Móc kiedyś pomyszkować po szafach słynnych gwiazd... Brigitte Bardot, Liz Taylor, Giny Lollobrigidy.

— Dodajmy Głorię Swanson, Pełę Negri, Gretę Garbo. One to dopiero miały kapelusze.

Rozmawiała
WIESŁAWA CZAPIŃSKA